Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 10.** Leszno, dnia 5. Września 1835.



Kościół Ś. Krzyża w Wrocławiu.

O początku i powstaniu téj świątyni, dzieje następujące podają nam wiadomości: Henryk IV. xiążę Wrocławski, obarczony ciągłemi wojnami, które od początku zaraz panowania swego, już to z pogranicznymi xiążętami, już to z własnymi przymuszony był prowadzić poddanymi, wycieńczył nareszcie skarb, i ostatnie nieoledwie wyczerpnął siły narodu. Jednakże duma, żądza chwały, własne nakoniec bezpieczeństwo, nie dozwalały zaniechać boju. Lecz wycieńczeni podatkami mieszkańcy, nie mogli już dostarczać potrzebnych zasiłków, gdy tymczasem zarząd kraju i dalsze uzbrajania, nowych wymagały wydatków. W tém krytycznem położeniu Henryk,

chwycił się ostatniego sposobu: duchowieństwo i magnaci mieli ponieść wszystkie ciężary; biskupowi zatem, jako naczelnikowi całéj dyecezyi, ówczas Tomaszowi II. nakazał złożyć znaczną summę pieniężną. Długo opierał się pasterz, nauczony czyli raczéj przerażony przykładem poprzednika swego Tomasza I., którego xiążę Bolesław, Łysym nazwany, pojmawszy gwałtem w niewolą, dopóty więził, dopóki tenże darów i dobrowolnie niesionych ofiar, za obowiązek i daninę należną nie przyjął. Uległość tę zbyteczną, którą współczesni za słabość uważali, chciał Tomasz II. naprawić, i zgwałcone prawa odzyskać; dla tego niesłusznym wymaganiom xięcia do ostatka opierać się postanowił. Henryk kilkakrotnie napominał niechętnego biskupa; lecz gdy wszystkie jego przedstawiania i groźby nie skutkowały, użył przemocy; zabrał biskupowi dobra, i wszystkie dochody i dziesięciny do swego skarbu składać rozkazał. Napróżno Tomasz II. usiłował ułagodzić rozjątrzonego xięcia; wyprawiał posłów jednego za drugim, sam się nareszcie do niego udał, aby go zmiękczyć prośbami i do oddania wydartych sobie dóbr nakłonić. Lecz bezskutecznie: bo Henryk słowa swego cofnąć nie chciał. Wtenczas Tomasz II. widząc, iż dobrocią i łagodnością nic wskórać nie zdoła, gwałtem napaść odeprzeć postanowił. Udaje się więc do swego Metropolity, Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego, błaga o pomoc, i obalone swego kościoła prawa, na jego składa ręce. Przychylił się do jego prośb Arcy-Biskup, i zgwałconych praw kościelnych bronić przyrzekłszy, zwołał roku 1285 zbór do Łęczycy (Lencicz) i za jedno-głośnem zdaniem zgromadzonych Biskupów, klątwę rzucił na Henryka, zwolenników jego, i wszystkich jego pomocników w dokonaniu tak haniebnego czynu. Atoli postępek takowy bynajmniéj położenia nieszczęśliwego Tomasza nie polepszył, owszem zapalczywość Henryka bardziéj jeszcze rozżarzył, który na nic niezważając, biskupa i duchowieństwo, pasterzowi swemu posłuszne, z Wrocławia wypędził, resztę dóbr opanował, i wszystkie skarby kościelne zabrał. Wygnani xięża udali się do Polski, gdzie od braci gościnnie przyjęci zostali. Pasterz zaś ich Tomasz II. wszędzie ścigany, tułał się długo, jako zbieg, po różnych okolicach, i w Raciborzu dopiero spokojny dla siebie znalazł przytułek. Lecz i tu go wkrótce dosięgła mściwa ręka Henryka. Albowiem dowiedziawszy się o pobycie Tomasza, wyprawił natychmiast posłów do Władysława, xięcia Raciborza, żądając wydania Biskupa. Lecz ponieważ Władysław przedstawienie jego odrzucił, ruszył Henryk z wojskiem, i miasto Raciborz obległ. Oblężeni mieszkańcy przez długi czas silny dawali odpór, lecz kiedy głód i nędza w mieście uczuć się dały, już zamyślali o wydaniu biskupa. Opuszczony i zewsząd prześladowany pasterz, ostatniego chwycił się środka. W biskupim ornacie, w towarzystwie kanoników, idzie do obozu nieprzyjaciela, aby zmiękczyć zakamieniałe serce prześladowcy swego, i ułagodzić tem poniżeniem gniew jego, albo też uzbroić gromy na obudzenie uśpionego sumienia. Uwiadomiony o zbliżaniu się biskupa, zdumiał się, i całkiem zmieszany naprzeciwko biskupowi wyszedł. Widok upokorzonego pasterza, wskroś przejął Henryka, i tak serce jego skruszył, iż tenże padłszy na kolana, zawołał: „Ojcze zgrzeszyłem!" Nie dał mu więcéj mówić biskup, łzy radości zrosiły jego lica; podniósł więc xięcia, i na znak pojednania uścisnął i pocałował. Potem udali się zaraz do pobliskiego kościoła, gdzie w obliczu Boga podali sobie wzajemnie przyjacielskie dłonie, i przeszłość w niepamięć puścić przyrzekli. Henryk nietylko wszystkie zabrane dobra i własność duchowną wrócił, ale nadto kościołowi Wrocławskiemu większe jeszcze nadał swobody. Arcy-Biskup Gnieźnieński zdjął klątwę i z najzaciętszego przeciwnika najpoufalszym zostawszy przyjacielem, przydomkiem **Poczciwego** (probus) udarował. — Rozczulony Henryk nie przestał na tém wynagrodzeniu; chciał bowiem na znak swéj zupełnéj poprawy, wystawić wszystkim widzialny pomnik, i dla tego ślubował wybudować kościół i poświęcić go S. Bartłomiejowi. Lecz kiedy przy zakładaniu fundamentów znaleziono w ziemi korzeń, do wizerunku krzyża bardzo podobny, zdarzenie to wziął xiążę za skazówkę nieba, i rozpoczętą świątynię czci Ś. Krzyża poświęcił. Nie chcąc jednakże łamać dawniéj uczynionego ślubu, pod ziemią drugi kościół Ś. Bartłomiejowi wystawił. Starożytna téj budowy architektura, dawny styl gotycki, a nadewszystko trwałość sztuki średnich wieków, zwraca na siebie uwagę wszystkich znawców.

Świątynia ta upiększona różnemi ozdobami, na które się sztuka ówczesna zdobyć mogła, stała nienaruszenie aż do roku 1632. W roku zaś rzeczonym, kiedy wojska Cesarskie, nie mogąc się oprzeć natarczywości Szwedów, po kilku nieszczęśliwych potyczkach, Szlązk opuścić musiały, a tem samem cała ta prowincya stała się łupem nieprzyjaciela; miasto Wrocław, lubo się w téj wojnie za neutralne ogłosiło, zagrożone od wojsk nieprzyjacielskich, ratując się od zniszczenia i zupełnéj zagłady przez kapitulacyą, przedmieście tak nazwane wyspą Tumską, *) jako nie należącą do jurysdykcyi magistratu, w ręce Szwedów oddała. Nieludzkie obchodzenie się tych nowo przybyłych gości, dało się w znaki i kościołowi Ś. Krzyża. Wierzchnią bowiem świątynię zamieniono na kościół ewanjelicki, podziemną zaś jako niepotrzebną, z nienawiści i żądzy pomszczenia

*) Ta część miasta Wrocławia, gdzie dziś Tum, kościół Ś. Krzyża i inne przyległe budynki stoją, tworzyła dawniéj zupełną wyspę, i osobne dla siebie miasteczko; w późniejszych dopiero czasach oblewającą ją naokoło odnogę Odry zasypano, i z resztą miasta połączono.

się na katolikach, obdarłszy ołtarze, powyrzucawszy obrazy, dla tem większéj hańby, na stajnią przerobiono: od tego czasu kościół podziemny Ś. Bartłomieja znieważony niechrześciańskim postępkiem Szwedów, stoi pusty, i zupełnie osierociały, i tylko tu i owdzie nosi jeszcze słabe szczątki dawniejszéj swéj okazałości i świetności.

Gmach świątyni zwierzchniéj ma całkiem kształt krzyża. Ta sztuce budowniczéj mniéj odpowiadająca forma, pociągnęła za sobą niektóre niedogodności i uchybienia architektoniczne, których mimo wszelkiéj usilności uniknąć nie było można. Sprysy do połowy dachu wzniesione, i w kształcie piramid zakończone, a nadewszystko wysoka śpiczasta wieża, wiele się do ozdoby zewnętrznéj kościoła przyczyniają. Na jednéj takiéj górnéj piramidzie, właśnie nad bramą kościoła położonéj, spostrzegać się daje ptak, podług ogólnego mniemania ludu kawkę oznaczać mający, jako znak, iż chłopiec, wybierając pisklęta w wieży gniezdzących się kawek, z samego szczytu kościoła bez najmniejszego spadł uszkodzenia. Jednakże nic to innego nie jest, jak tylko dawny orzeł Polski, którego zupełnie w téj saméj postaci wyobrażonego na dawnych nagrobkach i na starym ratuszu widzieć można.

Do górnéj świątyni prowadzą z dwóch stron kamienne schody, żelaznemi opasane poręczami. Wewnątrz kościół jest obszerny, wysoki i jasny. Środkowe sklepienie wspiera się na mocnych filarach, które również na podobnych, lecz daleko potężniejszych dolnego kościoła spoczywają. Wśrodku Presbyteryum znajduje się grobowiec familijny xięcia Henryka z pomnikiem na wierzchu fundatora tego kościoła. Ołtarz wielki na nieszczęście oku widza nazbyt oddalony, wystawia Podwyższenie Ś. Krzyża. Nadziemska ta idea, godnego siebie znalazła mistrza, z nazwiska jednakże nam nieznanego. W krużganku ku południowi, wisi noga olbrzymia, którą przy zakładaniu fundamentów w ziemi znaleziono; a w zakrystyi zachowuje się dolna część wyżéj wspomnionego korzenia, który stał się powodem do nadania budowie teraźniejszego kształtu; górna zaś część zupełny krzyż tworząca, miała zaginąć podczas trzydziesto-letniéj wojny. F. K.

Cokolwiek o nosach.

Fizyonomicy uważają, iż gdy wybuch jakiéjkolwiek namiętności rysy twarzy człowieka częściowo lub zupełnie zmienia, sam nos zostaje zawsze jednakowym, i w zgodzie ze zwyczajnym charakterem pana swego. U Łaciników było powszechném przysłowie: „non cuique datum est habere nasum“ t. j.: nie każdy ma odmienny skład twarzy od innych, czyli nie każdemu dało przyrodzenie nos znamienity. Cycerona nazywano mówcą z dwuznacznym nosem, ponieważ nos jego trzymał środek pomiędzy nosem długim a spłaszczonym; Starożytni bowiem szczególniéj zwracali swą uwagę na te dwa kształty nosa, i nie dowierzali nigdy ludziom z małémi nosami.

Ztąd zapewne powstały rozmaite przysłowia, pomiędzy wszystkiemi niemal używane narodami, w których nosa kształt lub zaleta jaka, oznacza bliższy osoby charakter lub nałóg. Tak mówimy o człowieku przebiegłym, iż ma dobry nos lub węch; o dumnym; „iż nos swój nosi do góry“ — lub: iż zadziera nos;“ o człowieku naprzykrzonym: „iż nos swój wszędzie wścibia;“ — O człowieku obżartym mówi Francuz: „iż ma nos swój zawsze na talerzu; o uczonym szperaczu: „iż nos swój trzyma w książkach,“ „dać komu szczutka w nos“ lub utrzeć komu nosa“ znaczy pozbyć się natręta: „Prowadzić kogo za nos“ mówi się o człowieku lekkowiernym, lub zbyt uległym dla drugich.

U wielu narodów jest urznięcie nosa, jedną z najhaniebniejszych kar. Muzułmani urzynali dawniéj w wojnach z Chrześcianami, poległym nosy, pakowali je w wory, i posełali Sułtanowi, aby go przekonać, ilu zabili nieprzyjaciół. Papież Sixtus V. wydał ustawę, aby wszystkich rozbójników schwytanych i przekonanych o łupiestwo, pozbawiać nosów. U Izraelitów nie przypuszczano do służby ołtarza Lewity z zbyt wielkim, małym lub krzywym nosem. Jako zaś małe nosy, pod którémi zapewne Mojżesz spłaszczone rozumiał, w pogardzie były; tak broniono niekiedy wielkich, utrzymując, „iż duży nos, twarzy nigdy nie szpeci.“ Malarze i snycerze zgadają się w tém z Izraelitami, i nieznajdują dużych nosów tak szpetnemi, jak spłaszczone lub zadarte. Uważają oni nos za punkt stały, w którym się wszystkie części twarzy schodzą i łączą: sławni nawet mistrze, biorą nos za trzecią część długości twarzy, mierząc od końca brody, do miejsca, gdzie się na czole włosy zaczynają. Można wprawdzie zmienić swą twarz układem włosów, nie ma zaś żadnego sposobu, aby nosom wykształconym inną formę nadać. Plato uważa nos orli za najpiękniejszy, i zowie go nosem królewskim. Aspazya, Achilles, Parys, Cyrus, mieli takie nosy. Kałmucy mają za szczególniéj piękne, nosy spłaszczone i zadarte. Hottentoci płaszczą dzieciom swoim naumyślnie nosy, gdy tymczasem Persowie różnych używają sposobów, aby nosy xiążąt swoich podobnemi nosowi Cyrusa uczynić. Takwięc piękność nosów jest względną; zawisłą od gustu szczególnych osób lub narodów.

U wielu ludów zdobią nosy według dawnych zwyczajów. Amerykańskie dzikie narody zatykają sobie oście ryb lub kości wyrabiane: na wschodzie zawieszają u nosa niewiasty bogate pierścienie; inne innych używają ozdób. Zwyczaj ten odległéj sięga starożytności, i zdaje się, iż oznacza u niewiast uległość mężom, wzięty od niektórych gatunków zwierząt, którym w nozdrza pierścienie zatykano, aby niémi lepiéj władać można było.



Żbik, czyli kot dziki.

Pomiędzy naszemi swojskiemi zwierzęty i ptastwem domowem, większa część obcego jest pochodzenia, i z cieplejszych stron do nas została przeniesioną. Pięciu tylko gatunków pierwotwory, jeszcze się w stanie pierwiastkowym, to jest naturalnym, w lasach naszych trzymają. Takiemi są: dziki gołąb, dzika kaczka, dzika gęś, tudzież świnia dzika, i kot dziki, którego tu rysunek przyłączamy.

Kot dziki, czyli, jak go myśliwcy nazywają żbik, rzadki już jest w naszéj prowincyi. Daléj na wschód, w królestwie polskiem i w Litwie, częściéj się wprawdzie znachodzi, ale już nie do zagęszczonych zwierząt liczyć się może. Wielkość jego, jest jak dwa razy kota domowego. Kolor szerści wcale nie tak rozmaity, jak u ostatniego, bo zawsze jest sino popielaty, z czarnemi pręgami i plamami po całem ciele. — Bystry ma słuch, i równie bystry wzrok. Oczy jego takiéj są natury, że jeszcze lepiéj widzą w nocy, jak wednie, i świecą w ciemności. Chód jego zwyczajnie powolny i skradający się; kiedy zaś na pastwę jaką czyha, zbliża się pocichu, ciągnąc się na brzuchu, a kiedy już dość jest zbliżonym, daje wielkiego susa, i rzadko chybi celu. Biegać może prędko, ale nie długo. Dzielniejszy jest w skakaniu i w łażeniu na drzewa. Po najsłabszéj i najcieńszéj gałęzi przekraść się potrafi, a choćby z najwyższego stanowiska upadł na ziemię, zawsze stanie na nogach i szkody nie poniesie.

Przebywa najwięcéj w lasach, gdzie poluje na ptastwo, szczury, krety; ale nie mało wytępia i zajęcy, równie jak inną drobniejszą zwierzynę. — W tęgich zimach, kiedy mniéj najduje pożywienia w lesie, zbliża się do mieszkań ludzkich i napada na ptastwo domowe. Schronieniem jego wtenczas są nóry, po jakim Lisie lub Borsuku zajęte, albo też kiedy jeziora zamarzają, gęste i niedostępne trzciny.

Strzelać do niego najłatwiéj, kiedy na drzewach przesiaduje; bo lubi spoczywać rozciągnięty na gałęzi. — Ale jeśli go wystrzał chybi, natychmiast strzelcowi do oczu skacze, i już własnemi rękami bronić się od niego trzeba. — Z nóry zaś można go dymem wypłoszyć, a potem szczwać psami. Te zaś bardzo powinny być wprawne, bo walka ze Zbikiem nie łatwa i najtęższe psy od kocich pozurów śmiertelne odnoszą rany.

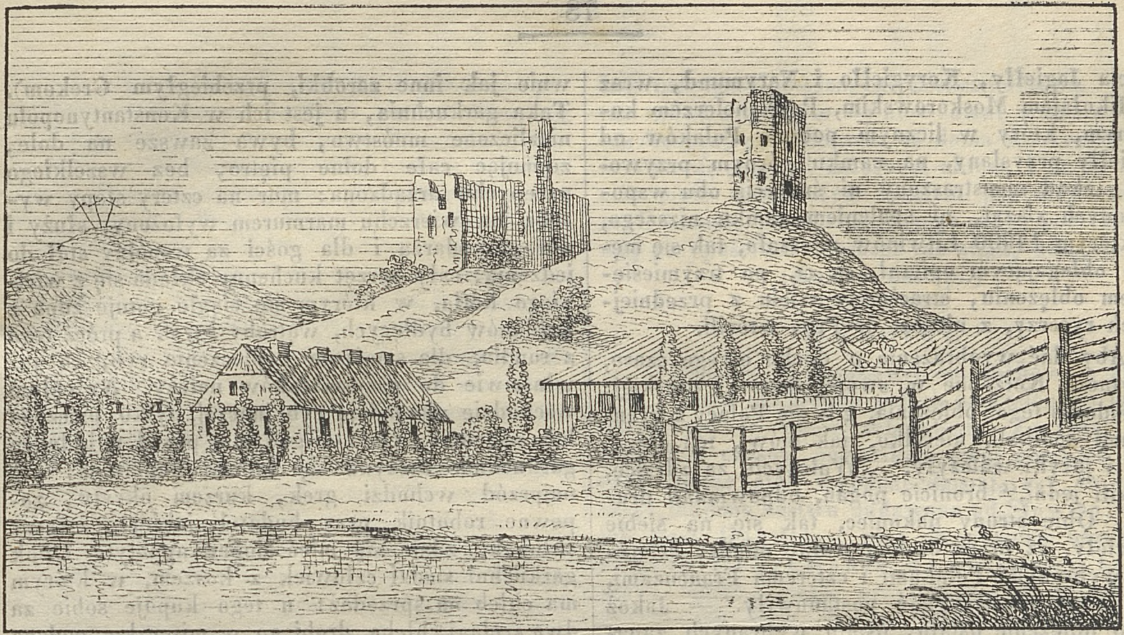
Użyteczność Zbika jedynie polega na futrze, które do podszycia odzieży i czapek, z korzyścią służyć może.

Wiadomo, że szerść domowego kota zawiera wiele elektryczności. Ta własność więcéj jeszcze jest wydatna w Zbiku, i ktokolwiek wśród ciemności pomknie rękę po jego futrze, a zwłaszcza od ogona ku głowie, dostrzeże wypadające z głośnym trzaskaniem iskry. Z téj przyczyny używa się Zbikowa skóra do machin elektrycznych, dla tego też może pomocną się staje, gdy ją przykładają do części ciała ludzkiego podagrą dotkniętych; może też i dla téj własności i dla otaczającéj atmosfery, wiele osób znieść nie mogą bliskości kotów wszelkiego rodzaju, a niektórych ta nerwowa odraza aż o mdłości przyprawia.

S. H. P.

Wiadomość historyczna o zamku Wileńskim.

Rycina powyższa przedstawia nam wiernie szczątki grodu Gedymina, tyle wsławionego w dziejach Litwy. Wiadomość historyczną o zamku tym, którą łaskawym podajemy Czytelnikom,



Ruiny zamku Wileńskiego.

skreślił znany z pięknych tworów geniuszu swego poeta A. Ed. Odyniec. *)

Długo przed założeniem Wilna, miejsce, na którem dziś stoi, słynęło w Litwie świątynią Perkuna, a mianowicie poświęconem zgliszczem, które na żądanie ojca swego Swentoroga, xiążę Germont albo Gierajmund w 1285 roku założył, i na którem odtąd zwłoki xiążąt nroczyście palono. Dopiero około roku 1321 W. Xiążę Gedymin, w Trokach naówczas mieszkający, zapędziwszy się w te strony za turem, dognał go i zabił na górze, dziś zamkową zwanéj. A gdy spracowany łowami spoczywał w rozbitym u stóp jéj namiocie, śniło mu się, iż widział na niéj żelaznego wilka, a w nim słyszał wyjących stu innych. Sen ten, podług wykładu ówczesnego Krywe-Krywejty Lezdejki, miał oznaczać, iż na tem miejscu powstanie mocny zamek i głośne na cały świat miasto. Uwierzył mu Gedymin, i zaraz na téj górze zamek murowany, którego szczątki na wizerunku widzimy, u stóp zaś jéj zamek dolny, drewniany, oraz miasto założył. Nie omyliły przepowiednie Lezdejki. Wilno stawszy się wkrótce stolicą Litwy, stało się najpiękniejszem, na bardzo szeroką okolicę miastem; mężna zaś po kilkakroć obrona jego zamków, do najświetniejszych wspomnień litewskich należy.

Pierwszy wkrótce po ich założeniu, obległ je W. Mistrz Krzyżaków Pruskich, Werner v. Orselen wraz z królami: Ludwikiem Węgierskim i Janem Czeskim, którzy w licznym poczcie przedniejszych xiążąt, przyszli, podług ówczesnego wyrażenia, polować na pogany w Litwie. Nie udały się jednak łowy. Oprócz spalenia przedmieść Wileńskich, żadnéj nieodniosłszy korzyści, przyciśnieni głodem, z ogromną stratą cofnąć się musieli.

Nie zbyt długo potem za Mistrzowstwa Winrycha v. Kniprode w Prusach, a za panowania Olgerda w Litwie, zaczęła się między nimi zaciętsza niż przedtem, najsławniejsza w dziejach Litewskich, przez wiele lat bez przerwy trwająca wojna. Mnóstwo Krzyżowników z różnych krajów Europy, powiększało codziennie siły zakonu, który też ze swojéj strony, całą potęgę na podbicie Litwy wysiłał. Jak jednak mało dokazał, z tegoby można już wnosić, iż przez ciąg całéj téj wojny, pomimo częstych nad Litwą zwycięztw, nigdy jednak pod mury Wilna zbliżyć się nie mógł, czy nieśmiał, — bez pomocy i przewodnictwa samychże xiążąt Litewskich. Pierwszym z nich był Witold. Obrażony na Jagiełłę, iż przed nim rodzonego brata swego Skirgajłę na W. Xięstwo Litewskie przełożył, po dwakroć szukał wsparcia Krzyżaków, i z nimi niszcząc Litwę, Wilno szczególnie zdobyć usiłował. Za pierwszym razem, w roku 1387, ze stratą od oblężenia odparty, we trzy lata potem, znowu je z większemi niż dotąd siłami ponowił. Wspierali go Krzyżacy Inflantscy i Pruscy, pod Mistrzem Konradem Wallenrodem, wspierali licznie z różnych krajów Europy przybyli Krzyżownicy, między innymi: Henryk xiążę Lancaster, (późniéj pod imieniem Henryka IV. panujący w Anglii) na czele 1000 angielskich łuczników, Algard Hrabia v. Hohenstein, sławny w całéj Europie rycerz francuzki Boucicault, i wielu innych xiążąt i rycerzy niemieckich, którzy walcząc przeciw Litwie, już to łupów, już chwały, już odpustów szukali. Wszyscy ci, złączonemi siłami poraziwszy w przeważnéj bitwie zasłaniającego Wilno W. xięcia Litewskiego Skirgajłę, miasto i zamki oblegli. Bronili ich dwaj

---

*) Melitele, Noworocznik wydany po A. Ed. Odyńca. Warszawa 1829.

bracia Jagiełły, Korygiełło i Narymund, wraz z Mikołajem Moskorowskim, Podkanclerzem koronnym, który w licznym poczcie Polaków od Jagiełły przysłany, na zamku górnym przywodził; zkąd nieustraszony ni śmiercią obu wspomnionych xiążąt, ni spaleniem zamku niższego, w którym 14000 Litwinów zgorzało, tak się mężnie oblegającym opierał, iż ci, po trzymiesięcznem oblężeniu, straciwszy wielu z przedniejszych rycerzy, z niczem do Prus wrócili.

Aby dać wyobrażenie o duchu owego czasu, przytacza Kotzebue w swojéj historyi pruskiéj: iż podczas tegoż oblężenia, gdy się Polacy z Francuzami spotkali, nietylko, jak mówi, ich oręże, lecz i języki walczyły. „Walczycie za zdrajcę," mówili jedni," bronicie pogan, odpowiadali drudzy. Obie strony nakoniec, tak się na siebie zawzięły, iż przez osobną walkę między czterema wybranymi Polakami i czterema Francuzami, spór swój rozstrzygnąć postanowiły. — Jakoż skoro oblężenie ustało, ośmiu wybranych zapaśników udało się do Pragi, prosząc króla czeskiego, aby im plac walki oznaczył, i sam był jéj sędzią. Wymówił się od tego zaszczytu, i tyle dokazał, iż zaniechawszy krwawego zamiaru, przy wesołéj uczcie, toast wiecznéj zgody między dwoma narodami spełnili.

W roku następnym jeszcze raz Witołd z tąż samą pomocą, lecz i nielepszym skutkiem, kusił się o Wilno. Uwiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, następca Moskorowskiego, Oleśnicki, miasto spalił; a gdy na jego pogorzeliskach rozłożyli się oblegający, uczynił na nich wycieczkę i do odwrotu przymusił.

Widząc nieskuteczność swych zabiegów Witołd, pojednał się z Jagiełłą, opuścił Krzyżaków, i wnet jako W. xiążę Litewski, wjechał do tak długo pożądanego Wilna, uprzejmie w nim od Jagiełły i Jadwigi przyjęty. We dwa lata później, raz jeszcze lecz już ostatni, zagrozili Wilnu Krzyżacy, pod Mistrzem Konradem Wallenrodem, wspierając obrażonego Swidrygajłę, brata Jagiełły, który naśladując zgubny przykład Witołda, z obcą pomocą przeciw niemu wojował.

Sławna jest w dziejach Pruskich ta wyprawa do Litwy, z powodu wielkich przygotowań i niezmiernych kosztów; sławniejsza jeszcze z powodu klęski, którą krzyżacy i krzyżownicy, w ciągu dwumiesięcznego oblegania Wilna ponieśli, tak, że straciwszy 30000 ludzi, głodem i chorobami zniszczeni, ledwo cofnąć się zdołali.

Podróż na Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Abyśmy się lepiéj téj ciżbie przypatrzyć mogli, zbliżmy się do okna gospody naszéj, gdzie właśnie naprzeciwko znajduje się turecka garkuchnia (właściwie grecka, bo Turcy gardzą podobnego rodzaju zatrudnieniem, zostawując to, równie jak inne zarobki, przebiegłym Grekom). Taka garkuchnia, a jest ich w Konstantynopolu niezliczone mnóstwo, bywa zawsze na dole, zajmując całe dolne piętro, bez wszelkiego przepychu urządzona: mur na cztery stopy wysoki, na wierzchu marmurem wyłożony, służy i dla gospodarza i dla gości za wspólny stół do jedzenia: cały sprzęt kuchenny składa się z wielkiego kotła, w którym się ciągle gotuje zupa z kałdunów bydlęcych, wątroby i t. d. a prócz tego z rondla, dla smażenia i pieczenia ryb, co już właściwie do przysmaczków należy. Na całym wschodzie nie jadają ryb inaczéj, tylko pieczone lub smażone. O 11téj godzinie przed południem garkuchnia zaczyna się ludźmi napełniać: oto najprzód wchodzi grek, kurzem okryty, zapewne robotnik przy budowli jakiéj: żwawy chłopak, zdaje się mieć dobry appetyt. Obok garkuchni siedzi człowiek z koszem, w którym ma chleb na sprzedaż: u tego kupuje sobie za dwa szelągi chleba, drobi go w miseczkę, podaną sobie od traktyera, za drugie dwa szelągi każe sobie dać flaków, pokrajanych drobno, wszystko to polewa trochą zupy z kotła, a potem spokojnie i z wielkim appetytem na ulicy zajada tę wyborną potrawę. Wkrótce potem ujrzeliśmy officera Tureckiego, (poznać go łatwo po szarym kaftanie) zajadającego też samę zupę: wojsko Tureckie, a zwłaszcza officerowie, bardzo źle są płatni. Teraz zbliża się Tatar (goniec Turecki) z czapką spiczastą, na łokieć wysoką, i kupuje porcyą ryb: ryby te szybko płoczą, mąką posypują, kładą w rondel i smażą w oliwie: wszystko to w momencie się odbywa. Obok niego stawa z powierzchowności bogaty Turek, w białym turbanie, mający kaftan ponsowy na sobie, i zajada także też samę potrawę: i tak przystępuje jeden po drugim, a wszyscy skromny obiad z wielkim appetytem zajadają.

Pod ten czas widać na drugiéj stronie ulicy, lekko ubranych Włochów, francuzkich elegantów, brudnych i bosych mnichów, greckich popów, konstantynopolitańskich Greków w swych krótkich spodniach, niebieskich pończochach, czarnych sukniach i greckich kołpakach, przesuwających się tam i napowrót. Jeden goni drugiego, czasem postępuje z gracyą wolnym krokiem piękna greczynka, gustownie ubrana, z zarzuconym zręcznie na bok woalem; gdy na drugiéj stronie ulicy tłusta Turczynka aż do połowy zakwefiona, w wielkim szarym płaszczu, tacza się jak poczwara. Dla Europejczyka, mają takie sceny bardzo wiele powabu.

Nazajutrz z Pery, gdzieśmy przenocowali, udaliśmy się znowu na brzeg morski: wsiedliśmy na barkę długą, wązką, których tutaj mnóstwo się znajduje. Taką barką zwykle dwóch ludzi kieruje, których głowy, wyjąwszy mały trocik włosów na czubku, zupełnie są ogolone z czerwoną czapeczką. Twarze ich od słońca ogorzałe tudzież ich postaci odbijają bardzo od

białych koszul: z nadzwyczajną szybkością, pomiędzy niezliczonemi barkami przesunęliśmy się na drugą stronę do właściwego Stambułu. Tutaj mało widać Europejczyków, lecz za to daleko więcéj Turków, Turczynek, Armeńczyków, Żydów, Tatarów. Przeszedłszy kilka brudnych ulic, przybyliśmy do cyrkułu Żydowskiego, gdzie sami żydzi mieszkają, i sklepy swoje mają: łatwo ich poznać po małych niebieskich turbanach, z fioletową zawiązką: ztąd udaliśmy się na rynek niewolników. Tam byliśmy właśnie świadkami przedaży, a raczéj aukcyi dwóch niewolnic, białéj i czarnéj; a za pomocą tłumacza, dowiedzieliśmy się, jakim sposobem ta przedaż się odbywała. Tak nazwany rynek niewolników, jest to gmach nie bardzo wielki, z trzech stron zamknięty, zawierający po wszystkich trzech stronach rzędami pokoje, albo raczéj klatki, w których przeznaczone na przedaż niewolnice bywają zamykane. Dach tego domu wystaje daleko; pod nim więc siedzą na wzniesionych dywanach kupujący, palą tytuń i układają się z przedającymi o ten śliczny towar. Pomiędzy temi dywanami a murem, jest jeszcze ścieżka naokoło, dla tych, którzy te nieszczęśliwe stworzenia za kratami oglądać pragną. Usiedliśmy na ławce, i zaraz dwie niewolnice wyprowadzono, czarną i białą na sprzedaż publiczną. Biała, była dziewczyna piękna, mająca około lat 16: obie nie były zasłonione: jest to jedyne miejsce publiczne, gdzie tureckie damy pokazują się bez zasłony.

„Tysiąc siedmset piastrów za białą, (około 85 hiszpańskich talarów) piękna dziewczyna! perła! klejnot nieoszacowany! kto ją kupi?“ w tych słowach wywoływał woźny, oprowadzając niewolnicę na około domu wśród kupców. Niektórzy się śmiali, inni szydzili z tak wysokiéj ceny i pytali: czemu nie żąda 2000 piastrów. W tem występuje stary Turek, którego czerwone, nabrzmiałe oczy, twarz wychudła i żółta, gęba bez zębów, zdradzała zbyteczne używanie opium: zatrzymał dziewczynę w chodzie, i zaczął ją jak najściśléj oglądać: najprzód ręce, potem zęby, piersi i t. d. potem podał summę; lecz mu jéj nie przybito. Również postępowano z czarną, zaceniając ją 1000 piastrów. Napatrzywszy się dosyć, opuściliśmy to miejsce, nie czekając końca sprzedaży. Idąc daléj spotkaliśmy na placu orszak 10 do 15 chłopców, w wieku 10 do 15 lat w ciężkich kajdanach, którzy jak nam powiadano, dopiero z Syryi przybyli, i okropnego oczekiwali losu. Ztąd udaliśmy się do Bazaru. Jest to gmach olbrzymi, zawierający pod swym ogromnym dachem mnóstwo uliczek, w których po obu stronach są sklepy kupieckie z towarami. Mnóstwo towarów i bogactwa zadziwiają cudzoziemca. Taka tutaj jest ciżba, iż częstokroć kułakami drogę sobie torować trzeba. Nimeśmy to miejsce opuścili, wydarzyła mi się mała awanturka. Staliśmy przed budą, chcąc kupić chustkę jedwabną: jedna Turczynka przemowiła coś do mnie: nie rozumiejąc jéj, zapytałem naszego tłumacza, czego chce odemnie. Lecz ten radził mi, abym się niewdawał wcale w dalszą rozprawę; ponieważ ta dama wyrzucała mi, żem na nię spojrzał miłosnem okiem, i za to uczciła mnie wspaniałym tytułem psa niewiernego czyli Giaura. Usłuchałem jego rady: poczem dama, przypuściwszy jeszcze raz attak, oddaliła się.

(Koniec nastąpi.)

Sobótki.

Wieśniacy w Krakowskiem zachowują zwyczaj palenia ogniów po polach na Zielone świątki, nazywając te ognie sobotkami. Zwyczaj ten jeszcze z czasów pogańskich swój początek bierze; trudno atoli wybadać dzisiaj, czy to była cześć jakiemu bóstwu oddawana od Słowian; czy, jak nasz Bandtke, idąc za zdaniem uczonego Józefa Dobrawskiego, utrzymuje: kąpiel przez ogień, czyli oczyszczenie z grzechów. Jakkolwiek bądź, lud w Krakowskiém zachowuje tę pamiątkę, a przez zabobonność przypisuje sobotkom odwrócenie zarazy i chorób od bydła. Być może, iż zwyczaj ten zmienił za czasem pierwiastkowe znaczenie swoje; ale też nic nie ma do prawdy niepodobnego, ażeby dzisiejsze wieśniaków podania, lubo tylu wiekami od pogańskich czasów oddalone, nie mogły mieć z nimi jakiegokolwiek związku. Łatwo być może, iż to była ofiara, którą Słowianie składali jakiemu bóstwu, trzodami się opiekującemu. Prawda, iż podania gminne nikną przed pochodnią krytyki historycznéj: jednakże, gdy nic pewnego nie mamy o bałwochwalstwie przodków naszych, domysły i prawdo-podobieństwa, zastąpić muszą miejsce rzeczywistości. Wprowadzenie Chrześciaństwa musiało koniecznie pociągnąć za sobą zagładę najmniejszych nawet pamiątek dawnéj wiary, aby lud tém prędzéj, tém łatwiéj dał się nakłonić do przyjęcia słowa Chrystusa. A tak i najbieglejszego badacza oku, usunęła się pewność, dziewięciu przywalona wiekami. Miłym wszakże być może dla Czytelników krótki opis téj, dawnych czasów sięgającéj pamiątki. W dzień Zielonych świątek, *) gdy zmrok padać zaczyna, tysiące zapala się ogniów, w przestrzeni okiem nieprzejrzanéj. Bliższe odbijają się w krysztale spokojnéj Wisły, dalsze, aż ku Karpatom, gdzie powierzchnia ziemi wzniesiona, zdają się być gwiazdami zamgłonemi. Niektóre ognie pojedyńczo, inne po kilka i więcéj razem zapalonych, miły nadzwyczaj czynią widok dla oka. Z kopca Kościuszki lub z góry na Bielanach patrząc, szczególnie przy świetle księżyca, na kilka mil rozległą okolicę sobotkami posianą,

*) Powszechniejszem jest atoli mniemanie, jak to poświadczają dawniejsi pisarze, że w Wilią Ś. Jana: Marcin z Urzędowa pisze: w Wilią Śgo Jana niewiasty ognie paliły, tańcowały, śpiewały, djabłu cześć i modły czyniąc: tego obyczaju pogańskiego dotychczas w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z

nie można się nasycić tém czarującem panorama. Ognie te po parę godzin bywają palone. Zazwyczaj garść słomy, na wysokim zapalona bywa kiju, i całą stanowi ceremonią; a jednakże trzeba widzieć sobótki, aby uwierzyć, jak piękny, jak malowniczy sprawują widok: ceremonia ta trwa przez parę wieczorów. A. G.

Prędkość.

Z rzeczy znanych w naturze, największą chyżość ma światło; albowiem w jednéj sekundzie przebiega 46667 mil. Ziemia w swym obrocie około słońca, w jednéj sekundzie ubiega 112000 stóp, kula armatnia w tym samym czasie tylko 1800 — głos 1040 — jaskółka 123 — wicher mierny 70, wał morski 50 — wóz parowy zwykle 40; czasem 50 — wrona 30 — poczta szybka (Schnellpost) 7 stóp.

Tak więc teraz bez koni i zaprzęgu jedzie człowiek wozem parowym 6 razy prędzéj, jak szybką pocztą, a ¼ prędzéj, jak wrona leci. Wóz parowy przy takiéj szybkości, ciągnie jeszcze ciężar z tysiącem centnarów; a wszystko to sprawia mała ilość wody, zamienionéj w parę trochą węgli.

Przy takiéj chyżości podróżny na wozie parowym, musi być bardzo ostrożny: bo kto stanie na żelaznéj kolei, temu trudno uskoczyć, choćby o 200 kroków przed sobą wóz spostrzegł; gdyż w 5 sekundach już się wóz zbliży i przeleci. Tak niedawno, na drodze pomiędzy Liverpool a Manchester, wielkie wydarzyło się nieszczęście. Czterech podróżnych zsiedli, ponieważ właśnie wóz odpoczywał, i weszli na koléj dla powracających wozów przeznaczoną. Nagle ujrzano wóz: wołano na nich, aby prędko ustąpili z drogi; lecz zaledwie ta przestroga uszu ich doszła, już się wóz zbliżył, i wszystkich przejechał.

Osobliwszym jest widok, gdy dwa wozy parowe, naprzeciw sobie jadące, spotykają się, i przelatują jeden koło drugiego: z 100 do 200 osób, siedzących na takim wozie, nic patrzący rozpoznać nie może, jak białą wstęgę, którą twarze formują, przelatającą szybko jak błyskawica.

Dumanie na cmentarzu.

(Sonet.)

Już całun nocy okrył bielące mogiły;
A księżyc, jak kochanek po stracie kochanki,
Mdłe promienie roztaczał na pola, kurhanki:
I słowiki żałobną piosenkę nuciły.

Jakże cierpiącym urok wspomnień bywa miły;
Gdy myśl zbiegłéj przeszłości kwiat uplata w wianki,
I wyrwawszy nam ducha ze zmysłowéj tkanki,
Unosi go nad gwiazdy, w świat życia i siły.

Usiadłem na grobowcu i myślą goniłem
Tysiąc pamiątek lubych: wszystkie po kolei
Do stęsknionego serca jak dziatki tuliłem:

Lecz czemuż wśród obszaru, który myślą zbiegłem,
Jednę tylko ujrzałem, iskierskę nadziei?
I ta wraz znikła nawet, kiedy ją postrzegłem.

A. G.

Dwa dęby.

(Bajka.)

Często nie słusznie ktoś doznaje wzgardy.
Jeden dąb prosty i dla tego hardy
W sercu jad mieszcząc złośliwy
Rzekł do drugiego, co krzywy:
Jesteś, rosnąc za ogrodem,
Niegodnym natury płodem;
Szpecisz piękność téj murawy
Brzydki, niezgrabny, koszlawy,
I twoja niezgrabność w czasie
Do niczego nie przyda się.
Przyszedł czas, pościnał je chłop w takowym stanie,
Z prostego miał koryto, a z krzywego sanie.
A tak znalazł użytek w téj i w téj dębinie,
Krzywa żonę woziła, z prostéj jadły św...

X. T. C.

---

bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki.“ A Kochanowski śpiewa:

Gdy słońce raka zagrzewa.
A słowik więcéj nie śpiewa,
Sobotkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym lesie ...
Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień Śgo Jana
Zawżdy Sobotka palana.

Dodajemy tu jeszcze krótki Sobótki opis, wyjęty z Ziewonii na rok 1834:

„Uroczystość ludów słowiańskich znaną w różnych plemionach pod różnemi nazwiskami, sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypada 24. Czerwca. Mieszkańcy jednéj lub kilku osad, gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Były to istne słowiańskie igrzyska lub święto ognia, odziane tajemniczą uroczystością religii i całym urokiem poezyi. Opisał je Kochanowski: zdaje się, że sobótka, w czasach przynajmniéj późniejszych, znaczyła to samo, co późniejszy obcy wyraz wigilia. Sobota była dniem poprzedzającym największe święto, jakiem jest niedziela; wcale więc logicznie nazwano dzień przed mniejszemi świętami sobótką, czyli małą sobotą mniejszych uroczystości.“ — Inni wyprowadzają to nazwisko od Sabot, bożek Ślązaków, czczony na górze Sobota (Zobtenberg). Kołłontaj Sobotę nie z Hebrajskiego (sabat) ani od bożka wywodzi, lecz od wyrazów sobie robota, to jest, że w tym dniu lud wiejski już nie panu, ale sobie, dla siebie pracował. (P. R.)

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)